

Wojciech Stanisławski: Trzy nazwiska, które wstrząsnęły półkami (księgarń) w 2019 r.

Na ile Tokarczuk, ze swoim uwrażliwieniem na inność, politeizm i heterodoksję wpisze się w niepokoje współczesności – i na ile je przetrwa? Na to pierwsze odpowiedź jest niemal na pewno pozytywna: noblistka dostarczająca scenariuszy demonstracjom i netfliksom ma szansę stać się popularna i czytana w stopniu, jakiego nie doświadczyła Szymborska – pisze Wojciech Stanisławski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „2019. Ostatni rok dekady”.

Tokarczuk. Nie sposób nie wymienić na pierwszym miejscu nagrody Nobla dla Olgi Tokarczuk, chociaż dopiero co poświęcony był jej już cały numer „Teologii Politycznej Co Tydzień”, a i kilka innych publikacji. Ostatecznie taki laur w dziedzinie literatury polski autor otrzymuje średnio co 25 lat (co 20, jeśli doliczyć Singera), zaś między Reymontem a Miłoszem było aż 56 lat chudych, więc jest co odnotować, i żadne cierpkie uwagi na temat upolitycznienia czy marginalizacji literackiego Nobla nic tu nie pomogą, nawet, jeśli nie są całkiem bezpodstawne.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.

Prosimy, kliknij tutaj i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.

O metafizycznych i estetycznych osobliwościach tej prozy napisano już dużo, chociaż szczerze jestem ciekaw pierwszych publikacji akademickich „po Noblu”, pisanych z dystansem i z przypisami; no i związanych z tym nieuchronnych narodzin całej „tokarczukologii”. Kto będzie Błońskim, kto Franaszkiem nowej noblistki, kto Rusinkiem, kto Balbusem? Gdzie odbędzie się pierwszy festiwal Tokarczuk, która oficyna pierwsza wyda jej korespondencję, kto będzie odtąd projektował okładki?

Zastanawiam się nad tym, mając w pamięci cały zgiełk ostatnich dwóch miesięcy związany z tą nagrodą. Trudno nie przyrównać go do poprzednich dwóch polskich Nobli literackich i generowanych przez nie wzruszeń, ale i podziłów. Może nikt nie próbował osadzić Olgi Tokarczuk wprost w groteskowej roli „neoMiłosza” czy „neoSzyborskiej”, ale polaryzacje, jakie ujawniły się jesienią tego roku wśród osób wypowiadających się publicznie o literaturze i pisarzach były zdumiewająco podobne. Pisarka jako osoba zdystansowana od bieżących polemik i twitterowych pysków, ale przecież jednoznacznie kontestująca obóz władzy; politycy wahający się między oficjalnym uznaniem a dość oczywistym brakiem entuzjazmu; oponenti władzy gotowi do jednoznacznego upolitycznienia laureatki, wciągnięcia jej na sztandary – to dość wierna kopia (czy może raczej – parodia) miłoszomanii polskiej roku 1981. Również pisarka dystansująca się, nie tyle w deklaracjach, co w swojej twórczości, od literatury zaangażowanej w rozmowę o Polsce i historii, stająca po stronie lekkości, figli, ironii, syncyzny – to z kolei jakby rekonstrukcja roku 1996 i Nobla dla Wisławy. Podobnie rozwija się ciąg uwielbień i potępień, poszukiwania „kontrautorytetów” i kompromatów – tyle, że wszystko odpowiednio wzmożone za sprawą mediów społecznościowych, entuzjaści więc porównują Tokarczuk do „bogini”, podczas gdy troglodyci z okolic endekoidalnych widzą w niej „żydoukrainkę”.

Entuzjaści więc porównują Tokarczuk do „bogini”, podczas gdy troglodyci z okolic endekoidalnych widzą w niej „żydoukrainkę”

Naprawdę ciekawe są pytania, na które nie sposób odpowiedzieć w perspektywie podsumowania roku. Na ile Tokarczuk, ze swoim uwrażliwieniem na

inność, politeizm i heterodoksję wpisze się w niepokoje współczesności – i (to jeszcze bardziej odległa perspektywa), na ile je przetrwa? Na to pierwsze odpowiedź jest niemal na pewno pozytywna: noblistka dostarczająca scenariuszy demonstracjom i netfliksom ma szansę stać się popularna i czytana w stopniu, jakiego nie doświadczyła Szyborska. Ale co potem?

Sołtys. Paweł Sołtys. Pablopavo, jak mówili od lat wtajemniczeni, wymieniając kolejne zespoły i wytwórnie płyt, single i bootlegi, winyle i premiery – i to wystarczało mi żebym, coraz mniej słuchający, nie traktował poważnie wiadomości o opowiadaniach, bo ostatecznie albo się pisze prozę, albo się występuje w radio. A jeszcze jeśli jest to jakieś Roxy FM, a potem nominowany jest do Nike, TEJ Nike, no to nie ma się co przejmować, jakaś kolejna dęta wielkość, która zawdzięcza rozgłos kilku atakom na Kościół i zdjęciu z dzikiem czy tęczą.

A teraz odszczekuję, bo przeczytałem tom „Nieradość” i widzę, że dwaj faceci trochę po czterdziestce, Paweł Sołtys i Wojciech Chmielewski, zaczęli pisać opowiadania zupełnie nowej jakości: opowiadania, które nazywają nasz czas, nie szydzą, nie udziwniają, nie „kwestionują granic języka”, tylko w ogromnym trudzie nazywają doświadczenia niespełnienia, przegranej, „śmiesznych miłości”, daremnych i osieroconych przywiązań, rodziny i starości – w sposób, w jaki dotąd tego nie robiono, wiernie, jakby ktoś robił gipsowy odlew śladów zostawionych w śniegu, i nazywając wszystkie osobliwości czasu, dekad, których w Polsce jest jakby więcej niż gdzie indziej, albo po prostu po replikach, gadżetach, „duchologach” rozmaitych można rozpoznać, czy rzecz dzieje się w epoce Personalnego, Ortalionu, Koksownika czy tej wymykającej się dotąd, Ścieżki i Lufki.

Paweł Sołtys i Wojciech Chmielewski, zaczęli pisać opowiadania zupełnie nowej jakości: opowiadania, które nazywają nasz czas, nie szydzą, nie udziwniają, nie „kwestionują granic języka”

Więc Paweł Sołtys, tak (bo Chmielewskiego znałem już wcześniej), odszczekuję, nie sięgałem po jego prozę, bo „Pablopavo”. I takie w tym byłem mądry,

jak Tomasz Łęcki ze swoim „Przecież to zwyczajny kupiec!” pod adresem Wokulskiego. Sięgam jeszcze raz po teksty Sołtysa i Chmielewskiego, nie mieliśmy takich opowiadań w polszczyźnie od czasów debiutów Hłaski i Nowakowskiego, a potem Filipowicza. I myślę sobie jeszcze, że skoro obaj oni są laureatami Nagrody im. Marka

Nowakowskiego, ustanowionej w roku 2017 przez Bibliotekę Narodową (Chmielewski – 2017, Sołtys w rok później) to muszę czym prędzej sięgnąć po nagrodzony w tym roku zbiór opowiadań „Olanda” Rafała Wojasińskiego: wygląda na to, że ci jurorzy znają się na swojej robocie.

Lebiediew. Wymieniam go, chociaż to obca literatura, a pytanie było trochę o autorów polskich, którzy zresztą zafundowali nam w tym roku kilka prawdziwych trzęsień ziemi. Ale fenomen, jakim są powieści Siergieja Lebiediewa (dwie przełożone już na polski przez Wydawnictwo Claroscuro, dwie dalsze rozchodzące się, póki co, po świecie w przekładach na niemiecki, japoński i angielski), fascynuje mnie nie tylko ze względu na przejrzystość, rygor i wielką odwagę polityczną jego prozy. Ciekawe jest również to, że zyskał sobie już trochę admiratorów w Polsce – i jakie może to mieć znaczenie dla postrzegania w Polsce Rosji.

Jest bowiem tak, że Polacy, nie przejmując się komunałami o „polskiej rusofobii”, przez lata uważnie czytali książki Rosjan piszących o Rosji. Żeby się sięgać już zamierzchłych czasów Turgieniewa, Andriejewa i Gorkiego (tak!) – były w Polsce lata fascynacji Pasternakiem i Strugackimi, Achmatową i Mandelsztamem, a już spory o to, czy lepszy jest Sołżenicyn, czy Szalamow, bywały równie ogniste (i równie mało merytoryczne), co podobne przeciągania liny między admiratorami Miłosza i Herberta, które dobrze pamiętają Warszawa i Kraków lat 80. i 90. I nie szło, dalibóg, tylko o wagę świadectwa o łagrach i czystkach – choć o nią także.

Polacy, nie przejmując się komunałami o „polskiej rusofobii”, przez lata uważnie czytali książki Rosjan piszących o Rosji

Ten kanał komunikacyjny zanikł, zarósł – ani liczne przekłady Pielewina, ani rytualne wypominki o tym, jak to kiedyś cała Rosja czytała

„Przekrój” i słuchała Anny Jantar, ani niewydarzone demonstrowanie przyjaźni dla zwykłych Rosjan, które zdarzało się raz i drugi, podsycane polityczną koniunkturą, nie zmieniły tego stanu rzeczy: Rosjan przestano czytać na serio (choć nadal, trzeba przyznać, oglądano ich w

ramach festiwalu filmowych Sputnik czy Planet Doc). Proza Lebediewa jest zarazem najwyższej próby pod względem literackim, pisana bardzo na serio – i zarazem mierzy się z Rosją dzisiejszą. Już nie Rosją stalinowską i breżniewowską, lecz Rosją, która przekroczyła granicę zapomnienia, w której dorosło pokolenie naprawdę nieświadome bagażu wieku XX. Taką Rosję Polacy znają z reportaży, nie mieli dotąd okazji poznać jej przetworzonej przez literaturę. Być może powieści Lebediewa staną się dla Polaków, którzy potrzebują i wyglądają „przyjaciół Moskali” doświadczeniem na skalę sołżenicynowską.

Wojciech Stanisławski



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego